ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Czerwca | Nr. 23. | Roku 1843.

PRZECISZEW.

SZKIC HISTORYCZNY 1701—1709.

(Dokończenie.)

We dwa dni później, prawie o północy, familijne groby dziedziców na Przeciszewie jedną zwiększyły się mogiłą: spoczęła w niéj nieszczęśliwa Jadwiga. Orszak pogrzebowy dziéwicy, któréj niedawno jeszcze cały kraj niósł hołdy uwielbienia, któréj czcił piękność i cnoty, trzy tylko osoby składały—poczciwy wieśniak, miejscowy pleban i stolnik.

Nieszczęsny starzec bez łzy w oku, bez westchnienia w piersi, rzucił piérwszą garść ziemi na trumnę ukochanéj córki. Ktoby rzekł, iż on świéżą stratę obojętnie poniósł, gdyby dziwnym blaskiem iskrzące oko, gdyby czoło w głębokie bruzdy porznięte, jasno nie zdradzały cierpienia duszy, za silnéj, aby w łzę mogła się wywinąć, albo w westchnieniu znaleźć osłodę.

Mogiła wzniosła się już wysoko, ostatnia kropla święconéj wody oddawna na nią upadła, stolnik nie opuszczał jéj jeszcze. W bolesném milczeniu pogrążony, skrzyżowawszy na piersiach ramiona, toczył wzrok błędny w około, aż mu pleban poszepnął:

»Panie! czas myślić o odjeździe... Te strony coraz więcéj niebezpiecznémi dla ciebie: we wsi o twojém przebywaniu chodzą pogłoski... Koń i przewodnik już gotowe, jutro możesz być w Prusach... wspomnij, że tego pragnęła nieboszka twa córka.«

Starzec wzdrygnął na te wyrazy, ocuciły go one niejako, klęknął na mogile, kilka chwil w milczeniu modlił się, a gdy powstał, ujął garstkę ziemi, i chowając w zanadrze, mówił głosem ponuréj rozpaczy: »Córko! Jadwigo! — żegnam cię! Bóg da — nie na długo... zobaczymy się tam przed jego tronem; ale nim to nastąpi... lube dziécię! przysięgam na tę ziemię pokrywającą twe zwłoki, na twą pamięć przysięgam! będziesz pomszczoną — on — twój zabójca! zgon mój poprzedzi.«

Pobożny kapłan zadrżał usłyszawszy słowa stolnika, i w cnotliwém oburzeniu głosem wyrzutu przemówił do niego:

»Stolniku! ta, która już teraz przed tronem surowego lecz sprawiedliwego sędziego stanęła, wczorajszego wieczora jeszcze zaklinała cię, abyś wyrzucił rozpacz z serca, zemstę z twych chęci. Poprzysiągłeś jéj to, a przecie bluźnierczym językiem, bezbożną żądzą krwi bliźniego na jéj świéżéj mogile śmiész się odzywać? Czy nie wiesz, nie pojmujesz, że zemsta któréj łakniesz, któréj plan może w sercu układasz, jak na twoją głowę, zarówno na jéj duszę spadnie, zagrodzi nieszczęsnéj drogę do wiekuistego zbawienia? Chceszże na wieki wieków zgubić twe jedyne dziécię? Chceszże przy schyłku życia, po raz piérwszy splamić się krzywoprzysięztwem, obrazą honoru przynieść hańbę nietylko imieniowi swojemu, ale wszystkim przodkom, którzy oto spoczywają w tych grobach?«

»Piękne są rady twoje!« — wykrzyknął starzec ponuro, przecież do mego przekonania nie idą: co to jest honor, co to jest powinność, kiedy piérwszy niecny człek, piérwszy powiéw wrogiego losu zdeptać je mogą i wyśmiać? O! Bóg!... nie praw mi o nim... on nie miał litości, czemuż ja mam baczyć na jego sąd, na jego gniew? Księże! kiedy zemsta kipi w piersi, kiedy najświętsze twoje uczucia roztargane, rozwiane... piekło jest niczém przy torturach żywota. Ale masz słuszność: odjeżdzać mi trzeba,

opuścić ten kraj; bo cóż ja jeden — słaby starzec podołam? mogęż ponieść grot zemsty otoczonemu tysiącem siepaczy pankowi? trzeba mi towarzyszy... mieć ich będę, mieć ich muszę! za cenę zbawienia ich kupię!....«

Kapłan chciał coś wyrzec, nie słuchał go starzec, szybko cmentarz opuścił, dosiadł przygotowanego rumaka, i tego dnia jeszcze ujrzał się na pruskiéj ziemi.

IV.

Byłoto w 1709 roku: August drugi znowu tron Jagiellonów zasiadał; krew przecież szczególniéj w ówczesném płockiém województwie nie przestała płynąć potokiem. Z zwyciężonych zwycięzcy, partyzanci saskiéj sprawy, mścili na Leszczyńskiego stronnikach dawne urazy i klęski: strasznyto był czas, kiedy zemsta nie znała hamulca, kiedy prawo odwetu jedném tylko istniejącém być się zdawało.

Przed świéżo-odbudowanym Przeciszewskim dworcem, orszak jezdnych stanął: dowodził nim starzec już siwy, przecież jeszcze dziarski i silny. Huzarska zbroja pokrywała széroką piers jego, szabla dźwięczała u boku, oko młodzieńczym gorzało zapałem, ale po czole rozbiegały głębokie marszczki nagromadzone wiekiem i troską. Tym starcem był znajomy nam Albert Przeciszewski: żwawo z znużonego drogą poskoczył rumaka, i obracając się do towarzyszy wykrzyknął:

»Jeszcze dzień jeden naprożno stracony. Dla Boga! panowie bracia! nie jesteśmy godni nazwiska żołniérzy: kiedy starzec bezsilny, człek bez odwagi i wojennego przebiegu myli nasze pogonie, przed zasłużoną karą uchodzi. Wiecie jednakże, jaka sowita nagroda czeka tego z was, który najgorliwszego z stronników szwedzkich, naszemu dostawi monarsze; wiécie, że ja z mojéj strony, za głowę zbrodniarza, chętnie oddam połowę majętności mojéj.«

Żołniérze milczeli, jakby czując słuszność wymówek; starzec odbiegł do swéj komnaty, karabelę odpasał, zbroję zrzucił, i już chciał wejść do łoża, aby znużonemu ciału dać chwilę wytchu, zebrać siły do nowéj jutrzejszéj wycieczki, do ścigania nienawistnego wroga — dziedzica na Bromierzu, który z garstką partyzantów Leszczyńskiego odcięty od Szwedów, tułał się jeszcze po okolicy; gdy przed drzwiami dworca, zabrzmiała trąbka rycerska, zatętnił orszak jezdnych, i wszedł do komnaty kapitan saskich rejtarów.

»Dobra nowina panie stolniku!« wykrzyknął radośnie, »od dzisiejszego poranku trop w trop ścigając oddział starosty, dopędziłem go wreszcie na granicach posiadłości twoich. Po krótkiéj obronie, banda we wszystkie rozpierzchła się strony: kilku tylko poległo, między témi jest syn starosty, lecz i ojca wkrótce mieć będziem w rękach naszych, schronił się bowiem w lasek przyległy dworcowi twojemu. Chciéj więc dodać mi nieco ludu pieszego, a za godzinę najdaléj, banita winnéj karze ulegnie.«

Starzec wzdrygnął się na tę wiadomość. A więc zemstę, którą od zgonu nieszczęsnéj Jadwigi poprzysiągł staroście, dla któréj przez lat siedm znosił wojenne trudy, tułactwo, niedolę, miał wreszcie ugasić we krwi nienawistnego wroga, mordercy jedynego swego dziecięcia. Byłato chwila, co mu nagradzała wszystkie dotych-czasowe cierpienia, co mu we snach jaśniała, w jego myśli bez ustanku była: śmierć nawet tego, którego synem miał nazwać, którego urodzenie widział, wypiastował na ręku, nie wzruszyła go wcale.—Czyż on świętokradzkiém złamaniem przysiąg, pierwszego śmiertelnego ciosu nie poniósł Jadwidze? Lecz na téj jednéj krwi nie dosyć mu było: zgon dziedzica na Bromierzu, jeden tylko mógł opłacić stolnikowi długoletnie cierpienie i troski. Bezzwłocznie wydał stosowne rozkazy, co było ludu zbrojnego we dworcu, rotmistrzowi oddał, i sam lekkim pancerzem piers uzbroiwszy, przypasawszy wierną szablę do boku, już chciał za drużyną pobiédz na ściganie starosty, gdy małe drzwi z sypialni wychodzące na ogród zaskrzypnęły z lekka, i w rozdartéj odzieży, kałem i pyłem pokrytéj, stanął przed nim człowiek jakiś. Stolnik zadrżał... oko jego zabłysło, zaiskrzyło... była w niém radość, piętnowała się zemsta: nieszczęsny, szukający przytułku, ocalenia w jego domu, byłto — dziedzic na Bromierzu.

»Litość, zmiłuj się, miéj litość!« wołał głosem rozpacznym.

Wszystka krew burzyła w sercu stolnika, rozkoszą pomsty zakołatało serce! Ach! zabij go, zamorduj, lub wydaj w ręce mściwych Sasów, wołała ona. Już szabla wydobyta z pochwy błysnęła w ręku starca, gdy myśl przyszła — niech zginie w obliczu téj, któréj życie wydarł, którą zamordował bez litości. Ujął drżącego starostę za rękę, o kilka kroków gwałtownie w głąb komnaty pociągnął i stawił przed wizerunkiem Jadwigi.

»Litości łakniesz!«—urągliwie wykrzyknął wtedy, — »lecz czy wiész, gdzie jéj szukasz, w czyim domu? Spojrzyj na ten portret, wszak go poznajesz? To moja córka, moje dziécię jedyne, moje szczęście całe! Ona już w grobie, od lat siedmiu w grobie: a kto ją zabił, kto zniweczył jéj szczęście? przypomnij sobie, odpowiédz!...«

Starosta głucho jęczał....

»Tak! zgiń... musisz zginąć koniecznie!« wołał stolnik w rozpacznym zapale,—»musisz zginąć, bo śmierć twoją poprzysiągłem na jéj grobie, bo tylko krew twoja może jéj zgon wynagrodzić. Szatan cię sam w me ręce podaje.... dzięki mu dzięki! dobądź więc szabli i broń się!«

Oko dziedzica na Bromierzu pogrążone w wizerunku dziewicy, straszliwego obłąkania połyskało wyrazem. Nie rozumiał, nie słyszał słów zemstą tchnącego stolnika; ale pojmował je duszą, pojmował cierpieniem, jęknął:

»Zabij mnie — zabij! nie oszczędzaj... ja winny... zabij!«

Byłoto cierpienie... rozpacz, przed któréni ugięła się nawet zemsta stolnika. Wydobytą karabelę skłonił ku ziemi. Starosta w obłąkaniu wołał:

»Ja winny, ja zbrodzień, ja morderca! masz słuszność... niéma dla mnie zmiłowania, niéma zbawienia! Nietylko jéj krew na méj głowie cięży, ale i krew jéj narzeczonego, krew mego jedynaka — Kazimiérza. On za moim tylko rozkazem, zmuszony moją wolą i przekleństwem — inną nazwał żoną, inną nie ją — i zginął! Zginął! bo sam szedł na śmierć, bo rozpacz była w jego sercu. Ach! czy ty wiész, czy ty rozumiész co to jest zabić własnego syna... dziécię—jedynę podporę starości, dziedzica imienia?!—Biada mi biada!«

Upadł na kolana przed wizerunkiem dziewicy, wychudłe ręce złożył niby w modlitwie, i szeptał:

»Przebacz mi, przebacz aniele! Wszakżeś ty anioł, ty już tam w niebie z nim razem. Przebaczcie mi.... przebaczcie dzieci występnemu ojcu! on tak nieszczęśliwy!...«

W piersi stolnika było duszno: wrzała w nich walka różno-rodnych uczuć... przeszedł kilka razy po komnacie, lecz już karabela w pochwie spoczęła.... już zemsta w poczciwém sercu wygasła. Zabić go, wydać Sasom? nie! to nie sposób... On tak nieszczęśliwy! on tyle ciérpi! a ciérpi bez pociechy: bo jakaż jest dla tego, komu katem sumienie?!

A starosta wykrzykiwał z rozpaczy:

»Zdarłem jego szczęście, a przecież on dla mnie życie położył, własną piersią zasłonił... przyjął bez wzdrygnienia śmiertelny grot, co mnie był przeznaczony! Byłże kto więcéj nieszczęśliwy odemnie..? niktże się nie ulituje, nie weźmie mi życia? Stolniku! Albercie! — bracie! przyjacielu! Jam zabił twą córkę... ja ci wydarłem ojczysty majątek, półwieczne podeptałem związki, czemu się nie chcesz pomścić? Czemu nie dobędziesz szabli, nie wydrzesz z piersi tego serca, które cnocie zamknione, w zbrodni, w zdradzie, żywioł, życie znajdowało tylko?«

Tak upłynęło kilka minut... Na dziedzińcu dworca, znów zatętniały rumaki, gwar orężnych rozległ się... Starosta chwilę przysłuchiwał się wrzawie, oko jego błyszczało — było w niém rozpaczne postanowienie jakoweś... szybko poskoczył ku drzwiom komnaty. Zatrzymał go stolnik.

»Gdzie chcesz uchodzić nieszczęśliwy? tam śmierć twoja pewna, oni czekają na ciebie — moi żołniérze — nie znajdziesz u nich litości.«

»Puść!« wołał starosta: »ja chcę zginąć... ty nie chcesz, nie śmiesz mnie zabić — pozwól im!«

Ujął za klamkę drzwi — silną dłonią odwiódł go Przeciszewski, i mówił głosem drżącym z obawy i sromu.

»Ona mi przebaczy! ona już pomszczoną sowicie! Twoja krew ciężyłaby wiecznie

duszy i sumieniu mojemu. Bóg cię już karze — ludzie nie powinni.

Lecz w téj chwili drzwi się otworzyły széroko, wszedł saski rotmistrz... z zdziwieniem ujrzał banitę obok stolnika, z zdziwieniem większém jeszcze usłyszał następne wyrazy:

»Starosta Bromierski mym jeńcem: odpowiedzialność jego krwi i bezpieczeństwa biorę na siebie, sam go najjaśniejszemu monarsze odstawię.«

Jakoż w kilka dni istotnie, wspołem z starostą do Warszawy pojechał. Przyjęty mile od Augusta, łacno otrzymał nietylko uwolnienie od kary, ale zwrot dziedzicowi na Bromierzu posiadłości ojczystych.

Kilka lat jeszcze obaj starcy żyli. Codziennie na zagrobskim parafijalnym cmętarzu widziano obudwu: jeden modlił się na mogile córki, drugi na mogile syna; lecz żyjąc wspomnieniami, umarli dla świata, umarli dla siebie. Raz tylko jeden, starosta, a to gdy otrzymał glejt królewski, zapragnął odświéżenia dawnych związków, błagał o dawną przyjaźń stolnika; lecz ten mu odparł ponuro:

»Przebaczyć Aszmości powinienem, bo to był obowiązek chrześcijanina i człowieka; wrócić przecież do dawnéj przyjaźni, dawnego braterstwa, przypomnieć związki... ani chcę, ni mogę. Cios, który zadałeś sercu, nazbyt był silny, aby kiedy mógł być zapomnianym. Żyjmy więc i sąsiadujmy jak dawniéj, ale bądźmy i pozostańmy obcymi sobie na zawsze.«

Ta była jedyna zemsta Alberta Przeciszewskiego.

PODWÓJNA ZEMSTA
WŁOSKIEGO MALARZA.

Słońce wiośniane świéciło jasno po nad jedną z cudnych okolic pięknéj Italii. Dwóch mężczyzn siedziało w chłodniku bujnie uwitym z winnych latorośli. Gdy już obadwaj wypróżnili piérwszy kielich ognistego *lacrimae Christi,* jeden z nich w szérokim płaszczu, przerwał milczenie.

»Więc wpan, panie kapitanie Henry«, tak rzekł do swego towarzysza, »znałeś piękną Żorżynę?«

»Znałem o tyle, że mogę powiedzieć: iż mi nie była całkiem obcą«, odpowiedział oficer.

»Zapewne, jeżli się nie mylę, byłoto w owych czasach, kiedy ona w Brescyi w całym blasku chwały jaśniała.«

»Tak jest mój panie, w tym samym czasie, kiedy Brescia, Padwa, Bologna, Parma, Wenecyja, słowem, cała Italija, jéj talentem i pięknością brzmiała. Nie śmiém cię pytać kapitanie, czy i dla ciebie — ów czas, był błogim i szczęśliwym? Ile mi wiadomo, nie każdy mógł się poszczycić względami téj czarodziejskiéj śpiéwaczki; byłoto wielkiém szczęściem, gdy kto łaskawe od niéj odebrał spojrzenie.«

»Przyznaję, że była niedostępną, jednakże, nie chełpiąc się bynajmniéj, wyznać mogę, iż dla mnie nie ze wszystkiém obojętną.«

»Mogłaż lepszy zrobić wybór, sam to bez pochlébstwa przyznasz sobie panie kapitanie. Twarz i postać Achilesa, piękny majątek, błyszcząca szpada, złotem haftowany mundur, słowem, miałeś wszystko, co się księżniczkom teatralnym zwykłe podoba. Zdawało się, że to biédne dziécię przepadało za podobnémi błyskotkami... Ale powiédzże mi przez łaskę swoję, byłaż ci wzajemną?«

»Mówiąc między nami — byłem już na drodze do pozyskania jéj miłości... Lecz puśćmy tę rozmowę, już i tak o małéj rzeczy mówiliśmy za wiele. Cóżto pana obchodzić może.«

»I owszém, nie może być dla mnie nic ciekawszego. Od czasu, jakiem wyszedł ze szkoły kadetów, lubię się we wszystko miészać, co się sztuki lub poezyj dotyczy; moją jedyną rozkoszą, przysłuchiwać się pieniom słowików naszéj pięknéj Auzonii, a szczególniéj wszystkiemu, co się do pięknéj Żorżyny odnosi.«

»Kiedy tak, nie mogę się więc oprzéć żądaniu pana, opowiem, jak zabrałem z Żorżyną znajomość.«

»Właśnie tego dowiedziéć się pragnę.«

Gdy te słowa mężczyzna w szérokim płaszczu wyrzekł, napełnił winem po raz drugi kielich oficera, ten musnąwszy pochlebnie po swoich pięknych blond wąsikach, tak zaczął opowiadanie:

»Będzie temu cztéry lub pięć — tak... pięć lat, kiedyśmy stali załogą w Brescii. Żorżyna była podówczas bożyszczem całego miasta, wszystkim pozawracała głowy, i ja — widziawszy ją i słyszawszy trzy razy w teatrze, nie mógłem się oprzéć jéj zachwycającym wdziękom, chcąc niechcąc, musiałem się w niéj zakochać.«

»Tak się działo z każdym, kto ją tylko raz ujrzał, a tyś kapitanie zginął dopiéro od trzeciego razu.«

»To wiém, że nie tylko ja, ale wszyscy oficerowie z mojego pułku byli w niéj zakochani. Nigdy mnie jeszcze nie zczarowało dwoje ócz kobiécych, tak bardzo, jak tym razem. Wkrótce

nie uszła jéj spojrzeniu ta niespokojność, która się w oczach kochanka maluje, ale ani ruchem ani wzrokiem nie dała mi poznać, że się lituje nademną. Posyłałem liścik za liścikiem, bukiet za bukietem, ale nadaremnie, inny już zajął jéj serce, byłto jakiś artysta, który pozyskał jéj wzajemność.«

»Czy nie malarz?«

»Być może, że malarz. Tyle wiém tylko, że to był kochanek zbyt namiętny, że uniesiony zazdrością na hołdy, które od publiczności odbiérała, chciał ją poślubić, aby raz już zeszła z drogi usłanéj kwiatami tryjumfu. Wszelką już straciłem był nadzieję, gdy oto razu jednego na placu św. Jakóba jakaś *duenna* poszarpnie mnie tajemniczo za połę sukni i wsuwa mi paczkę cygarów, pomiędzy którémi znalazłem ładniuchny bilecik....«

»Od Żoržyny?«

»Tak jest, od niéj.«

»O szczęśliwy śmiértelniku! Cóżci pisała ta czarująca istota?«

»Wiele, bardzo wiele pochlebnych rzeczy. List kończył się témi słowy: »Jutro ze zmiérzchem oczekuję pana przy wili Montefiascone.«

»I cóżeś pan przedsięwziął?«

»Jakże można tak pytać! Poszedłem, gdzie mnie wezwano.«

»Poszedłeś!—Ach, prawda, podówczas był festyn na téj wili, zapewne pana zaproszono?«

»Bynajmniéj, wszedłem ukradkiem, w razie jakiego wypadku, miałem oręż za towarzysza.«

»Mów pan daléj, słucham.«

»Sale i ogrody przepełnione tłumem gości, oblane strumieniem światła, szły o piérwsze z gwieździstém niebem. Skoczna muzyka rozléwała swe fale, jak szumne morze, głaskane powiewem łagodnego wiatru. Pomiędzy kwiecistémi drzewami w parku, przechadzali się uszczęśliwieni kochankowie. Królową téj świetnéj zabawy była Żoržyna, jéj imię było w ustach wszystkich, zewsząd odbrzmiewało je, wesołe echo, wszystkich oczy były tylko na nią zwrócone, zwłaszcza, że ta polubienica całéj Brescii, miała nazajutrz po raz ostatni śpiéwać na swój *benefis.*«

»Zapewne powodem tego świetnego zbiegowiska była ciekawość, aby ją tego wieczora jeszcze raz widzieć i słyszeć.«

»O dwadzieścia mil w około napłynęło gości... lecz wróćmy do naszéj powieści...«

»Bardzo dobrze, wróćmy.«—

»Właśnie, gdy w ogród wchodzę, postrzegam na terasie kobiecą postać w bieli, samotną, uwieńczoną kwiatami, opiérającą się na marmurowéj balustradzie.«

»Takto, owa Julija swojego Romea oczekiwała!«

»Przyjmuję to porównanie, jeżli się panu podoba.—Idę wprost ku niéj, a szelest moich kroków budzi ją z zadumania: »»Pan jesteś kapitanem Henry?«« przemówiła do mnie tak słodkim, czarującym głosem, jak gdyby ton eolskiéj harfy zadzwonił w me ucho! »Jestem nim«, odrzekłem. Nie mogłem zrzéc się tego szczęścia; musiałem cię widzić pani. Błąkałem się smutno pomiędzy tłumem uradowanych, wszędzie szukałem ciebie pani—teraz cię znalazłem... i, jestem szczęśliwy!«

»Jesteś grzecznym panie kapitanie«, odrzekła cichym anielskim głosem. »Ale nie wiém—czemu drżę cała, jak gdybym nierozmyślność jaką popełniła«, domówiła mdlejącym głosem, wyrywając się z ramion moich, którémi ją serdecznie ująłem. »Ach, blednę na tę myśl samę—gdyby cię Giulo przy mnie zastał....«

»Giulo? któżto jest ten Giulo?« zawołałem.

»Ach, jestto człowiek, któremu dałam przyrzeczenie, że mu sprzyjać będę; jest on wielkim malarzem, ale oraz śmiésznym człowiekiem, który mnie swoją przesadną miłością prześladuje.«

»Tak mówiła do wpana kapitanie?«

»Tak jest, tak mówiła do mnie, ale jak listek drżąca; widziałem, że to mówiąc, swoje piękne, duże oczy w dół spuściła. Naraz dały się słyszeć głosy nadchodzących, zabłysnęły pochodnie, które się coraz bardziéj ku terasie zbliżały.— »Mnieto szukają«—rzekła Żoržyna. »Mam śpiéwać i dać się oglądać jak obraz na wystawie. żałuj mnie Henry, jam nieszczęśliwa... i, oddal się śpieszno.«

»Bądź mi zdrowa Semiramido moja«, rzekłem z tkliwém westchnieniem, i ucałowawszy ogniście jéj śliczną, lilijową rączkę, umknąłem spiesznо z balustrady. Za chwilkę, byłem już na dole w ogrodzie; raz jeszcze spojrzałem ku niéj upojoném okiem, a ta niebiańska istota uwalnia jeden kwiatek ze swego wieńca, zdejmuje śpieszno pierścień z palca, i rzuca mi oboje, mówiąc: »Przyjm to odemnie.«

»Czy już koniec twojéj powieści panie kapitanie?«

»Już się zbliżam do końca«, odrzekł oficer. —»Nazajutrz teatr w Brescia gorzał od świateł jarzących, ogromne afisze ogłaszały dużémi literami: »*Semiramida,* opera seria, na benefis śpiéwaczki Zoržyny; ostatnie jéj wystąpienie.« Ze wszech strón napływały masy łamiąc się jak fale morskie o podwoje teatralne, które gdy się otwarły, publiczność jakby owa powódź wpłynęła i rozlała się po wszystkich miejscach. Zaledwie kilka chwil przeminęło, już cały teatr był przepełniony, gwar,

wrzask rozlégał się w około, jak gdyby się mury gmachu zapadały. Naraz jak po rozhukanym orkanie, zaczął się rozruch uspakajać, i nastąpiła głęboka cisza. Już miała w górę ulecićć zasłona.«

»Ale pan zapominasz o beneficyjantce.«

»Proszę tylko być cierpliwym. przyjdzie i na nią kolej. Odegrano uwerturę. Pełna oczekiwania publiczność, wołała jakby jedną piersią: aby się śpiewaczka ukazała. Daremne wołanie, zasłona nie ulatuje. Coraz głośniejsze, coraz natarczywsze wezwanie; zasłona się nie rusza, jak gdyby płótno skamieniało. Tu powstaje okropny krzyk i rozruch, słychać trzask ławek i krzeseł, już gasną świeczniki, brzęczą lampiony. Dopiero teraz wzlatuje zasłona, dyrektor występuje nieśmiało, kłania się trzykrotnie. Głębokie milczenie. — »Szanowna publiczności! Nie jestto winą nasza«, rzecze dyrektor, »nadaremnie szukano wszędzie; *Signora* Żorżyna zniknęła.« Na te słowa osłupiała publiczność — i opuściła teatr w milczeniu, nie mogąc pojąć, co się ze śpiewaczką stało. I ja poszedłem do domu, smutniejszy niż wszyscy, i bardziéj niż ktokolwiek w myślach zatopiony. Nazajutrz różne o tym wypadku biegały pogłoski. Jedni mówili, że *Signora* żałując za swoje światowe życie, ojechała do Rzymu i tam do klasztoru wstąpiła; drudzy, że lękając się nienawistnego jéj małżeństwa, przebrana i pod obcém nazwiskiem, do Francyi uciekła; inni znowu, że dniem piérwéj udarowała swojémi względami jakiegoś oficera, a drugi, zazdrośny kochanek, mszcząc się niewiary, utopił w niéj sztylet potajemnie. — Ta ostatnia pogłoska, jak się pan łatwo domyślić możesz, zajęła mię najbardziéj. Nadaremnie pragnąłem się dowiedzieć o jéj źródle, ale nikt mi coś pewniejszego powiedzieć nie umiał.«

»Miałżebyś panie kapitanie w saméj istocie nic więcéj o Żorżynie nie wiedzieć?«

»Zaręczam, że nic nie wiém, tylko to niestety, że ten kwiatek, który mi ta boska dziéwczyna w upominku dała, już uwiądł, i że pierścień z jéj lilijowéj ręki, dotąd noszę na palcu, jak gdybym jakim ślubem był z nią związany. Lecz cóżto panu? czemu druzgoczesz podstawę kielicha?«

»Proszę mi darować, przypomnienie pewnéj młodzieńczéj nieroztropności, mimowolnie ścisnęło mi kurczem rękę. Tu właśnie, gdzie się pańska, mnie bardzo mało znana powieść kończy, zaczyna się druga, o któréj mam dokładniejszą wiadomość...«

»Jakoż Pan miałbyś wiedzieć, co się stało z Żorżyną?«

»Wiém.« — Na tę odpowiedź wziął oficer flaszkę i nalał wybornego wina do kieliszków, które obadwaj wypróżnili.

»Mów pan, słucham.«

Mężczyzna owinięty płaszczem, ozwał się w te słowa: »Tego samego wieczora, kiedy po raz ostatni miała wystąpić na scenę, siedziała Żorżyna przy gotowalni w swoim własnym pałacu, Giulo, malarz, którego pan znasz teraz, był obecny. Już była zupełnie ubraną do roli babilońskiéj królowéj. Jeszcze nigdy nie wydała się artyście-kochankowi tak czarującą. Jak słońce na niebie, panował wieniec z kwiatów na jéj głowie, dwoje dużych oczu ocienionych długiémi rzęsami, biło ognistym blaskiem, jak dwa iskrzące dyjamenty; splot jasnych włosów spadając od skroni, zarysował na bladem licu śpiéwaczki, na pół wygiętą liniję, jak gdyby pęzlem Rafała nacieniowaną; w około różowych ustek, błąkał się uśmiéch niewymownéj słodyczy, jednem słowem: Żorżyna była upromienioną wdziękiem i poezyją. Na ten widok Giulo odchodził od zmysłów, zazdrość i zachwycenie owładły wichrząco serce jego, tysiące sztyletów czuł w swojéj piersi, i w téjże chwili leciał skrzydłem zachwytu do raju szczęścia. Giulo był podobien do owego człowieka, który przez jakąś demoniczną istotę opanowany, zrzuca z siebie ziemską osłonę.«

»Cóż uczynił artysta?«

»Giulo rzekł do niéj: »Nakoniec będziesz moją.« — »Chwilkę cierpliwości mój drogi«, odrzekła Żorżyna. »Jeszcze jeden dzień, a potém — będę twoją.«

»Ach, jeden jeszcze dzień — długi jak całe wieki! O, Żorżyno, jakże jesteś próżną, patrząc się w twoją sławę, zapominasz o mojéj miłości!«

»Giulo, jesteś niedobry, po cóż te zarzuty? Daruj mi ten jeden dzień tylko, będzie on ostatnim mojéj świetności! Com przyrzekła, dotrzymam. Skoro dziś odśpiéwam *Semiramidę* — a zasłona spadnie — jestem twoją, twoją na zawsze.«

Młody artysta nic nie odrzekł, ale nagle jak gdyby mu jakaś myśl w głowie błysnęła, uderzył się ręką w czoło.« —

»Idźmy już«, rzekło to milutkie stworzenie. Zeszli na dół, powóz stał przed pałacem. Giulo wsiadając, szepnął coś do ucha furmanowi, a w téjże chwili lotem ptaka potoczył się powóz po kamienistym bruku.

»Przebóg, Giulo! Dokądżeto jedziemy?« zawołała przelękniona dziéwica. »Ta droga nie wiedzie do teatru. Cała Brescia czeka na mnie, a ja jestem na ulicy *Via di Podesta* przy twojéj pracowni!« — Giulo milczał. Nareszcie powóz się zatrzymał przed domem, którego się drzwi na oścież otworzyły — artysta ujawszy swoje bóstwo w ramiona, wniósł je z pośpiechem w przysionek — a drzwi się zamknęły.

»O mój Boże! Cóż o mnie pomyśli Brescia?« zawołała z płaczem *primadonna*. »Dziesięć lat mojej pracy, ubóstwienie Neapolu, Bolonii, sławę, która mię w Wenecyi oczekuje, całą moję świetną przeszłość, wydzierasz mi za jednym razem!«

»Okrutna, chcesz że abym cierpliwie znosił, gdy trzy tysiące rąk będą ci oklaskami brzmiały, gdy tysiące wieńców spadnie pod twoje nogi, gdy cała Brescia będzie się poić twoim głosem, i tysiącem ócz wysysać twoje wdzięki?! I na toż, moje zazdrością pożerane serce zezwoli? O, nie! Spojrzyj na ten trój-nóg, widzisz niedokończony obraz: *Śmierć męczeńska św. Cecylii*. Oprawcy i narzędzia katuszy, już odmalowane, brakuje tylko saméj dziewicy; Żorżyno, ty nią będziesz, ja cię na tem płótnie uwiecznię, dam mu życie dwojgiem twoich dużych, płomienistych oczu, upromienię twoje skronie wieńcem, w którym ci tak bosko do twarzy.«

»Giulo, co mówisz! Zapominasz, żem aktorka, a ty potrzebujesz modelu świętej, wzoru kobiety, w któréj twarzy głęboka boleść mieszka, w któréj ustach ostatnie westchnienie kona; jam zaś podobna do marmurowego posągu Wenery, jestem ubrana w róże i drogie kamienie.«

»Taką nie pozostaniesz na długo. Precz ze złotem, precz z temi kwiatami!«

»I teraz jeszcze nie jestem dziewicą chrześcijańską. Mam na sobie płaszcz królewski, jestem małżonką Assura.«

»Precz z płaszczem, perłami, precz z dyjamentowemi naramiennikami!«

»Ażaliż obnażona z królewskiego przepychu, mniéj jestem światową? Nie śmiejąż się moje usta jak dawniéj, nie mająż barwy koralu?«

»Wkrótce ta barwa zgaśnie; uważaj tylko: oprawcy z morderczemi narzędziami pojawią się — O, jakże piękna będziesz, kiedy w ręku twoich katow zmysły utracisz!«

»Moja dusza i w takiéj chwili nie uleci do nieba, bo ona zna tylko jedne drogę — na scenę.«

»Już ona znajdzie znowu drogę do Zbawiciela. Wyobraź sobie, że się oprawcy zbliżają. Już oto stanęli. Wyciągnięże w górę obie ręce, aby je skrępowali. O jakże ci pięknie we łzach Żorżyno, twoje długie strumienie włosów dotknięte ręką kata, dodają ci poezyjnego uroku.«

»Przecież szaleniec ten nie chciał jéj odebrać życia?« zawołał kapitan Henry.

»On więcéj uczynił! On stał się katem swojéj kochanki.«

»O biedne stworzenie!«

»Powiedz raczéj: Biédny malarzu. On więcej cierpiał niż ona. Jej włożył na skroń męczeńską koronę, a sam został służalcem rzymskiego sędziego i wołał straszliwym głosem: »Teraz wyznaj: że Cezar jest Bogiem; zaprzéj się Nazarejczyka, albo cię śmierć czeka! Wszystko już przygotowane, pomyśl sobie, że krzyż już wystawiony, słyszysz Żorżyno? Krzyż już wystawiony.«

»Przez miłosierdzie boże! Co czynisz Giulo?«

»Jeszczem cię nigdy nie widział tak piękną! O, jakże niewymownie piękna będziesz wtedy, gdy śmierć lodowatym oddechem zcałuje róże lic twoich; wierzaj Żorżyno, śmierć już cię obejmuje ramieniem kochanka.«

»Giulo, Giulo! Litości! Przez Boga! Litości!«

»Żadnéj litości, umiéraj!«

»O, nie, nie, ja nie jestem Cecyliją, rzymską dziewica, jam Żorżyna, nieszczęsliwa śpiéwaczka. Daruj mi życie!«

»Nadaremne jęki!«

»Boże w niebiesiech!« — To były jéj ostatnie słowa, padła od sztyletu nieubłaganego kochanka.«

»Przecież już koniec téj okropnéj powieści«, zawołał kapitan ocierając kroplisty pot z czoła. »Jestżeś pan owym czarnoksiężkim Egipcyjaninem z dawnych czasów, który swémi powieściami wino — w krew zamieniał?«

»Wszakżeś pan sam mnie o to prosił, abym opowiedział, jaki los spotkał Żorżynę.«

»To prawda; ale któżby się tak smutnego końca był spodziewał.«

»Proszę tylko być cierpliwym. Dopiéroś pan piérwszą połowę mojéj powieści słyszał, drugą — zaraz opowiem.«

»Dość już tego, nie bierz mnie pan na tortury. Jam tu przyszedł rozweselić się przy kieliszku *lacrimae Christi*, a pan mię opowiadaniem grobowych wypadków dręczysz.«

»Ależ muszę panu powiedzieć jeszcze, jaki Żorżyna pogrzeb miała.«

»Uwalniam pana, dość już wiem o losie téj nieszczęśliwej....«

»Giulo ukończywszy: *Śmierć męczeńska św. Cecylii*, odesłał obraz ten bezimiennie do Muzeum w Brescia; poczem spokojnie zawinąwszy ciało swojéj kochanki, dosiadł konia, i pognał nocą wprost ku adryjatyckiemu morzu; tonie morskie rozstąpiły się — a zwłoki pięknej Żorżyny — pożegnały się na wieki z promieniami słońca.«

»Sam Szekspir, chociaż rad był krwawe kreślić sceny, nie byłby zdolen był tak dzikiego, tak przerażającego utworzyć obrazu! Wszakże ten Giulo nie byłto człowiek, ale tygrys krwawy.«

»A może biedny, chory na umyśle.«

»Jako? pan go w swoję obronę bierzesz?«

»Litnję się nad nieszczęśliwym.«

»A jakiż jego koniec?«

»Koniec pożałowania godny. Rzucił się w odmęt szalonej rozpusty; z cichego, zimnego artysty, stał sie wichrzącym bez miary i celu, ale z każdéj rozkoszy unosił tylko rozpacz, przesyt i zgrozę, wszędzie go ścigał cień Żorżyny w lekkiej gazowéj szacie z wieńcem na skroni! Lecz dość już téj smutnej historyi; kapitanie, uderzmy jeszcze raz w kielichy.«

»Nie, nie; już pić nie będę, już późno, a potém, przyznam się panu, że ten szatan Giulo przeraził mnie do żywego. Gdzieby on teraz mógł przebywać?«

»Jak mówią, że on tego sam nie wié, goni z jednéj okolicy w drugą, zwiedza wszystkie miejsca, gdzie tylko jaką pamiątkę po drogiej Żorżynie znaleźć się spodziewa.«

»To jakiś potwór dziki!«

»I bardzo! — Posłuchaj pan co on jeszcze uczynił: Jednego dnia rzekł ktoś do niego: »Giulo, ten, którego Żorżyna w wili Montefiascone nad ciebie przeniosła, otrzymał od niej pierścień w miłośnym upominku, a ten pierścień dotąd na swojém sercu nosi.« O d t e g o t o c z a s u n i e s p u ś c i ł m a l a r z z a b ó j c ę s z c z ę ś c i a s w e g o a n i n a c h w i l ę z o c z u.«

Te słowa wyrzekł płaszczem owinięty, tak groznym i przeciągłym głosem, iż kapitan, jak gdyby mu zasłona z oczu spadła, zerwał się z krzesła i dziko zawołał: »Tyżto jest ów szatański malarzu Giulo? Teraz cię poznaję, niewinną krwią Żorżyny, zbryzgany potworze! Już od czteréch lat słyszę za mną szelest twego tajemniczego płaszcza, słyszę szum skrzydeł drapieżnego sępa; jużto rok czwarty, że, jak zgubny duch idziesz ślad w ślad za mojemi kroki. Każ sobie przynieść szpadę. Niech się to już raz zakończy!«

Miasto odpowiedzi, rzekł Giulo (gdyż nim był ów nieznajomy w szérokim płaszczu). »Spełnmy raczéj jeszcze kilka kielichów *lacrimae Christi* kapitanie.«

»Dziki morderco, chceszże, abym cię tchórzem nazwał? Każ sobie przynieść szpadę!«

»Na cóż tu szpady?« odrzekł z szyderskim uśmiéchem malarz.

»Ty albo ja—jeden z nas, musi paść trupem«, rzekł oficer.

»Czy o to chodzi? Więc nam w tym względzie obudwóm dobrze usłużono: To wino, któreśmy przez dwie godzin pili—cha, cha, cha!—było zatrute!«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 23. i obejmuje: 1) O uprawie esparcety. 2) Mycie owiec. (Dokończenie). 3) O chodowli cieląt i jałównika. 4) Doléwanie wody do piwa jest zdrowiu szkodliwe. 5) Pojęcie leśnictwa — potrzeba leśnictwa — podział leśnictwa.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 12. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Szkice podróżne, przez przyjaciela W. Chłędowskiego. (Ciąg dal.) 2) Jerozolima, wiérsz, przez Józefę Rapelewską. 3) Nowe dramata na teatrze lwowskim. 4) Zapytanie.

Z Wilna: W ciągu bieżącego roku, wyjdzie z druku: Pismo zbiorowe pod tytułem: *Radegast*. Tomów trzy, przez Adama Honora Kirkora.

Z Petersburga. Wyszedł tu z druku: *Rocznik literacki*, składający się z pism wiérszém i prozą celniejszych spółczesnych pisarzy naszych, ozdobiony drzeworytami rznięt́emi w Paryżu, litografijami i muzyką. Wydał Romuald Podbereski. *(T. P.)*

Kora akacyj zawiéra truciznę. Podług postrzeżeń we Francyi poczynionych, kora zielona akacyj zawiera pewien rodzaj trucizny nader mocnéj. P. Husard (Weterynarz) był świadkiem, jak ogier pełen zdrowia i życia, spożywszy nieco zielonéj kory akacyi, wkrótce zachorował i zdechł tak nagle, iż żadnych środków przedsięwziąć nie było można. Podług p. Delongshamps, kilku studentów wzięło z pustoty w usta trochę świeżéj gałązki akacyi i ssało jéj sok słodkawy; wkrótce wszyscy dostali mocnych womitów i zapadli w niebezpieczną słabość. (Ziemianin.)

Zręczność chińskich kuglarzy, chwalą niezmiernie angielscy pisarze. Pomiędzy innémi opowiadają: że dwóch z tychże z Nankinu, ukazało się raz na ulicach Kantonu. Jeden z nich po sam pas obnażony oparł się o mur grzbietem. Drugi uzbrojony długim nożem, odszedł na jakie sto kroków od piérwszego i z téj odległości cisnął nożem z taką pewnością, iż nóż piérwszemu pod samém uchem w murze ugrzązł. Na twarzy Chińczyka, który na widoczną śmierć życie swoje narażał, nie widać było żadnéj trwogi, tak mocno ufał zręczności swego towarzysza. To pewne ciskanie nożem do celu, który raz pod lewém, raz pod prawém uchem w ścianie ugrzęza, odbywa się śród gęstego natłoku widzów.

Cena przelanéj krwi u Arabów. Przed Mahometem było w czasie wojny zwyczajem u Arabów, tyle jeńców mordować, ile każde plemię w wojnie utraciło ludzi: Śmierć kobiety, a nawet niewolnika, mszczono zgonem wolnego człowieka. Mahomet zniósł ten nieludzki zwyczaj podług zakonu Mojżesza, ograniczając go jedynie na prawie odwetu, i tak, wolny niech ginie za wolnego, niewolnik za niewolnika, kobieta za kobietę. Według ustaw mohamedanizmu, było obowiązkiem brata, syna lub najbliższego krewnego, żądać ceny krwi od mordercy. Za czasów kalifatu Abd-el-Mothleb, na cenę tę była ustanowiona taryfa.

Krzyż legii honorowéj. Dnia 19go maja w r. 1802, zaprowadził Napoleon, będąc jeszcze konzulem, tak dla wojskowych jak i cywilnych tę honorową ozdobę. Projekt do niéj przeszedł na zgromadzeniu prawodawczém po długim oporze. Gdy Napoleon został Cesarzem, order ten uległ niejakiéj odmianie. I tak za cesarstwa, krzyżem legii honorowéj, była biało-emailowana pięcio-kantowa gwiazda z wizerunkiem Napoleona, ozdobionym wieńcem z wawrzynu i liści dębowych. Napis w około: *Napoleon Empereur et roi.* Na stronie odwrotnéj orzeł francuzki trzymający w szponach pioruny i napis: *Honneur et patrie.* Wstążka tego orderu szkarłatna w prążki. Legija honorowa składała się z wielkich krzyżów, noszono je na szérokiéj wstędze przez plecy, a po lewéj stronie na piersi jaśniała gwiazda. Wielcy oficerowie tego orderu nosili krzyż u guzika, a po lewéj stronie na piersi małą gwiazdkę; komandorowie, krzyż na wstążce około szyi, oficerowie krzyż złoty z wstążkową szlifą, a legijoniści krzyż srébrny na pojedyńczéj wstążce u guzika. Legija honorowa składała się z 16 kohort, każda kohorta miała swoję stolicę w wyznaczoném mieście, liczyła 407 głów. Liczba więc wszystkich członków tego orderu była z samego początku ograniczoną na 6,512. Każda kohorta miała swego kanclerza, skarbnika i szefa. Cała legija miała wielkiego kanclerza i wielkiego skarbnika. Każden oficer wielki pobierał 5,000 franków dochodu, komandor 2,000, oficer 1000, legijonista 250 franków. Po restauracyi zaszły w tym honorowym znaku niektóre odmiany: król Ludwik Filip zatrzymał wprawdzie ten order ze wszystkiemi odmianami, dodał wszakże dwie trójkolorowe chorągwie. Klasę legijonistów, do któréj najwięcéj cudzoziemców należało, liczyła 14,000 członków. W roku 1840 wniesiono w izbie projekt, aby na pewną liczbę ograniczyć członków tego orderu. Nowi kawalerowie i cudzoziemcy nie pobierają żadnéj pensyi, ponieważ liczba dawniejszych członków przewyższa wyznaczoną liczbę; będą zaś tę pensyję pobiérać, skoro wymrą dawniejsi.

Poświęcenie się. Jacques i Pierre dwaj mularze w Paryżu, połączeni z sobą węzłem przyjaźni, pracowali często razem z kielnią w ręku. Pierwszy był młody, bezżenny, drugi żonaty, miał liczną rodzinę. Jednego dnia stali obadwaj na sto stóp od ziemi na drabinie, opartéj o rusztowanie, a do dachu przymocowanéj sznurem. Nagle spada rusztowanie, a obadwaj zostają na drabinie chwiejącéj się w powietrzu, a pod niemi przepaść. Sznur, którym drabina do dachu przywiązaną była, mógł zaledwie jednego człowieka utrzymać. Pierre widząc niebezpieczeństwo, rzecze do swego przyjaciela: »Jeden z nas zginąć musi, inaczéj śmierć nam obudwóm, sznur zerwie się lada chwila, któż z nas obudwu ma umrzeć?« — Na to odpowie Jacques: »Jam tak młody, radbym jeszcze żył na świecie.« — »A ja mam siedmioro dzieci, któż je będzie żywił gdy zginę?« rzekł Pierre z boleścią. — »Masz słuszność«, odpowiada młodszy przyjaciel, i puściwszy się w dół z drabiny, znalazł śmierć na bruku. Wice-hrabia d'Arlincourt podaje ten wypadek za prawdziwy w dziele swojém: *Gwiazda biegunowa.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Kratvera.
Drukiem Piotra Pillera.